









Biegeleisen H.

Niekona pisma W. Pola.

(Bibl. Warsz. 1892,  
t. I, marzec)

Dr. Wm. A. Dickinson. per. West

---

# NIEZNANE PISMA W. POLA.

---

Dzięki uprzejmości rodziny W. Pola, szczególnie córki poety a żony znanego przyrodnika, W. Urbańskiego, tudzież rzadkiej bezinteresowności pana Estreichera, który otworzył nam nietylko publiczne, ale własne zbiory rękopisów, otrzymałem do użytku nieznane pisma W. Pola, które ką nasz patrzenia na niego bodaj w części zmienić zdołają. Zacznijmy od wydania nieogłoszonej autobiografii poety, która w odróżnieniu od dawniejszej, wpisanej w albumie malarza X. Preka, a kilkakrotnie potem przedrukowywanej (w „Sprawozdaniu Zakładu Ossolińskich“ w r. 1873 i w „Zbiorowém wydaniu dzieł W. Pola“ przez rodzinę. Lwów 1877, tom VIII) zawiera kilka nowych szczegółów z życia W. Pola.

## I.

Autobiografia W. Pola

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 78  
Tel. 26-68-63

„Urodziłem się w mieście Lublinie, w dworku Archidykonii <sup>1)</sup>, z ojca Franciszka Ksawerego i Eleonory z domu Lonszan, dnia 20

---

<sup>1)</sup> Dopisano u góry tą samą ręką: „w Firlejowszczyźnie, pod Lublinem, wiosce będącej podówczas własnością moich rodziców.“



Kwietnia 1807 roku. Ochrzczony zostałem dnia 2 Maja t. r., do chrztu podali mnie WJMć Pan Karol Scipio, dziedzic Bychawej, i Pani Grabowska, z domu Scipionówna. Ochrzczył mnie JMć ksiądz oficyał Wincenty Jezierski, a na chrzcie dano mi imię Wincenty-Jakób. Rodzina nasza pochodzi z Anglii, zkąd się za Stuartów, w czasie przesładowania katolików, do Polski przeniosła i, w Warmii osiadłszy, ziemię nabyła. Ojciec mój rodził się jeszcze w Warmii, był wychowanym starannie na dworze księcia biskupa Warmińskiego i, przy założeniu szkoły wojskowej korpusu kadetów, wezwany do Warszawy na profesora historii i geografii. W Polsce dopiero oddał się nauce prawa; ze zmianą politycznych stosunków przeszedł do sądownictwa i umarł jako radca Wysokiego Trybunału 1823 roku w 72 roku życia. (Według aktu nobilitacyi urodził się w Roessel parafii na Szląsku 1760, a wstąpił do służby rządowej 1785 r., został adjunktem 1795 i t. d. Rękopis D-ra Estreichera). Do szkół chodziłem we Lwowie i w Tarnopolu na Podolu; egzamina na doktorat z filozofii składałem w uniwersytecie wileńskim 1829.

W 1832 i 33 podróżowałem po Niemczech, po Francyi, Szwajcaryi i północnych Włoszech i w tym roku wyszły z druku pierwsze moje poezye.

W roku 1836 osiadłem w górach Sanockich we wsi Kalenicy, pod Beskidem i począłem gospodarzyć, a wolne chwile oddawałem naukom przyrodzonym i specjalnie studjom geograficznym.

W roku 1837 pojąłem żonę, Kornelię Olszewską, córkę Tomasza i Antoniny, z domu Krzyżanowskiej.

W roku 1839 rozpocząłem moje naukowe podróże w górach Karpackich, na pasmie Sudetów i przyległych mu krajach, i podróżowałem odtąd rok rocznie w czasie miesięcy ciepłych aż do 1844 roku.

W roku 1845 zrobiłem podróż po krajach austryackich, celem poznania zakładów i zbiorów, poświęconych naukom przyrodzonym.

W roku 1846 straciłem, wskutek zaszłych wypadków, zdrowie, rękopisy i zbiory moje.

W roku 1847 odbyłem podróż po północnych Niemczech i byłem na wyspie Rugii.

W roku 1847—48 mieszkałem we Lwowie, zajmując się redakcją „Pisma Biblioteki Imienia Ossolińskich.“

W roku 1849 bawiłem w Cieplicach czeskich przez lato, a dnia 8-go Listopada tegoż roku zostałem mianowany profesorem powszechnej fizycznej i porównawczej geografii w uniwersytecie Jagiellońskim i osiadłem odtąd w Krakowie.“



## II.

List Szymona Dutkiewicza do B. M. Wolffa w Petersburgu.

*W Krakowie d. 28 Czerwca 1855 r.*

Szanowny Panie!

Od tygodnia odebrałem list Pana, ale że Pan Wincenty jest na kuracyi u wód, musiałem się z nim pierwój widzieć, zanim stanowczo odpowiedzieć mogłem. Milczenie Pana pojmuję, wszakże gdy półtora roku upłynęło, a żadnej wiadomości nie było, Pan Wincenty, żyjący z pióra, zdecydował się na drukowanie swych poezyi własnym nakładem. Mohort jest pierwszym ze czterech tomów, które teraz z kolei wyjdą. Drugi i trzeci tom będzie zawierał drobne poezye, czwarty Wita Stwosza. To jest fakt, o którym Panu donoszę i żadne propozycye księgarskie, wiem, że go nie odwiodą od tego wydawnictwa <sup>1)</sup>. Niepodobienstwem jest bowiem, aby w swoich pracach i dochodach miał być zawisłym od przypadkowości; co do tych rzeczy tedy nie może być nawet i mowy pomiędzy Panami, jakie układy przyszły do skutku. Z żadnym Friedleinem nie zrobił Pan Wincenty umowy, o tém mogę Pana uroczyście zapewnić. Wiadomość o illustrowanych okolicach Szczawnicy i Tatrów, które Pan Fajans wydaje, a do których, według pism publicznych, miał Pan Wincenty jakoby dorobić opisy, jest także bezczelném kłamstwem. Co do kupna Wita Stwosza, ma się rzecz tak: \*\* wziął rękopis i zawarł umowę: złp. 6,000 za edycyę pierwszą; ale półtora roku upłynęło od owego czasu. \*\* wytargował na Wicie jeszcze złp. 1000, ale i tych 5000 złp. nie płacił i nie płaci, i już teraz Wita Stwosza mieć nie będzie, o czém wie dobrze, bo mu to pisano. <sup>2)</sup> Jeżeli Panu szczerze mam wyznać, to wielką wdzięczność winien jestem \*\*, bo gdyby nie jego zawody, nigdy nie były-by te rzeczy dla P. Wincentego tak szczęśliwy obrót wzięły. Bo nie byłby się zapewne zabrał do wydawania dzieł własnych swoim kosztem. Co do Mohorta, rozumiem że fakta najlepij mówią.

---

<sup>1)</sup> Mowa tu o wydaniu wiedeńskiem, które wyszło 1857 r. w 4 tomach i zawiera: Mohorta, Winnickiego, Senatorską zgodę, Sejmik w Sądowej Wiszni i drobne poezye.

<sup>2)</sup> List, znajdujący się w rękopisach Bibl. Jagiell. l. inw. 3752, wyjaśnia tę sprawę zamierzonego wydawnictwa.

Na Nowy Rok wyszło z pod prasy 1000 egz.	
Wild księgarz lwowski wziął . . .	200 „
Żupański z Poznania „ . . .	30 „
Pisz z Bochni „ . . .	25 „
Milikowski „ . . .	50 „
— — „ . . .	30 „
Summa . . .	305 egz.

Cena Mohorta jest 5 zł. monetą konwencyjną; wszyscy ci wymienieni księgarze, o czém się Pan dowiedzieć możesz, zapłacili egzemplarze gotowizną przy odebraniu. Od samych tedy księgarzy wziął P. Wincenty w przeciągu 6 tygodni 1525 zł. reńskich. Resztą egzemplarzy zajęli się jego przyjaciele, a że do dwóch miesięcy nie miał już egzemplarza pod ręką, więc zrobił drugą edycyę, która na Wielkanoc wyszła i wolniej się dziś wprowadzie rozchodzi, ale zawsze jednak odchodzi. Dodaj Pan do tego, że w Poznańskie poszło tylko 30 egz., a reszta rozeszła się po Galicyi, a pojdziesz, że się P. Wincenty tak bez innych prowincyi w wydawnictwie swoim obejść może, jak się Pan bez Galicyi obchodzisz, bo już dziś nie dostać w Krakowie „Senatorskiej zgody“, a „Sejmiku“ nikt nie widział jeszcze, i my sami wątpimy, czy wyszedł z druku. Taki jest rzetelny stan rzeczy. Jeżeli Pan życzył-byś sobie co wydać z pism P. Wincentego, to było-by jedno tylko do nabycia, ale zrób rzecz doraźnie. P. Wincenty pracuje obecnie nad dalszym ciągiem „Pamiętników Benedykta Winnickiego“, które znowu trzy części mieć będą: 1) Stryjenka, 2) Bannita, 3) Polowanie. Każda z tych części będzie tyle, co „Sejmik“, albo większą, a „Stryjenka“ jest już gotowa. Jeżeli Pan przyjedziesz za bytności swojej w Warszawie i do Krakowa, jeżeli dasz za „Stryjenkę“ złp. 6000, to ją mieć będziesz; jeżeli nie, to dalszy ciąg „Pamiętników B. Winnickiego po Nowym Roku będziesz czytał z wydania naszego. Ja radzę, jako przyjaciel obu stronom, aby ten układ zawrzéć: dla p. Win., bo w ten sposób mogła-by „Stryjenka“ prędzej być w druku, dla Pana, że będziesz wydawcą nowj seryi „Pamiętników Winnickiego“, które, jak rozumiem, jeżeli autor pożyje, to się i pociągną. Co do „Stryjenki“, tyle Panu powiem, bo leży u mnie na biurku, że objaśnienia będą zajmujące i dość obszerne; ja przepiszę rękopis, a na Wrzesień będziesz Pan go miał w ręku. Z doświadczenia wiesz o tém, że umiem słowa dotrzymać; radzę tedy Panu, kończ, a to zaraz, aby tak nie było, jak z targami \*.\*. Że nam Pan obiecujesz „Sejmik“, bardzo się cieszymy z tego i wyglądamy jego przybycia do Krakowa, lecz więcej daleko z przybycia Pańskiego. P. Wincenty kazał Pana pozdrowić przyjaźnie. Sam nie pisze, bo zrobił sobie kompletne wa-

kacye, ale prosił, żeby Pana upewnić, że, jak milczenie Pańskie żadnej pomiędzy Wami nie zrobiło różnicy, tak żeby Pan wziął jego wydawnictwo nie za przekorę, ale za skutek dobrze pojętego własnego interesu. Zostaję i t. d.

*Szymon Dutkiewicz.*

### List Szymona Dutkiewicza do Wł. Syrokomli.

Szanowny Panie! Pomędzy przyjaciółmi jest pewna solidarność, i niech to nie dziwi, że miasto listu Pana Wincentego, otrzymujesz mój list, który piszę na prośby Jego w tej treści i w tém znaczeniu, jak go mieć chciał P. Wincenty był w Swoszowicach u wód, jak list Sz. Pana otrzymał. Prawdziwą zrobiłeś mu przyjemność tym listem, jakoż siadł zaraz i odpisał—jakie *hasło* taki *odzew*, grzeczne za nadobne. <sup>1)</sup> Wszakże do ekspedycyi tego listu nie stało już czasu, bo żona jego, którą do wód do Krynicy w góry wysłał, zastała ciężko w drodze i nie miał już głowy myśleć o tej ekspedycyi i wydawnictwie zamierzonego przez JPana „Rocznika.“ Wszakże, ile się to dało na wyjeźdném, mówiliśmy o tém i tu donoszę P. Dobrodziejowi, na czém stanęło. Do „Noworocznika“ posyła Wincenty trzy rzeczy — w tym porządku, jakie tu przepisane załączam — tytuł tego ma być: „Z klasztoru i z boru.“ i Dla P. Orgelbranda nie posłał-by nic P. Wincenty, bo ma próbkę jego rzetelności — czyni to dla JPana Dobr. i owszem zachęca go, żebyś zbiorowe pisma wydawał, a na każde wezwanie przysła Ci list, wierszem napisany — jeżeli zaczęłą korespondencję kontynuować będziesz. Co do honorarium, nie żąda żadnego tą razą, wszakże uprasza, byś kupił światło do Matki Boskiej Ostrobramskiej i był na swoją i Jego intencję na mszy św. przed tym cudownym obrazem. Gdy P. Dobrodziej list ten otrzymasz, racz natychmiast odpisać. P. Wincenty prosi o to jeszcze jedno, żebyś raczył przysłać dwa egzemplarze wszystkich swoich dotąd drukowanych pism. Jeden z tych egzemplarzy zachował-by dla siebie, a drugi pragnął-by oddać do Biblioteki Jagiell. tutejszej w imieniu Pańskim. Poezye Pańskie czytujemy razem z P. Wincentym z wielką przyjemnością, również i recenzye warszawskie na pisma obydwu panów; co recenzenci o tych pracach sądzą, o tém wiesz,

<sup>1)</sup> Aluzya do wiersza W. Syrokomli p. n. „Hasło“ i odpowiedzi na nie W. Pola p. n. „Odzew“ w zbiorowém wyd. rodziny. Tom V, str. 154 i nast.

opinia publiczności jest inną, a Panowie oba jeszcze inaczej o tej rzeczy sądzicie. P. Win. kazał Panu powiedzieć, że się bardzo systematycznie do Was wzięto, aby jednego do drugiego zniechęcić, ale wierz mi Pan, że co do P. Wincentego, nie uda się rzecz. Kiedy zaścianek *Podkowa* przeczytał i *Żebraka fundatora*, rzekł mi: „Rozumiałem, że to stracona pilcietu, a tu widzę ktoś na odsiecz jedzie, niech go Bóg prowadzi.“

Donieś nam, gdzie mieszkasz? co robisz? co piszesz? prosimy o to, a ja pierwszy krok do tego czynię, chociaż z góry upraszam, aby to, o czém piszę, ściśle między nami zostało. Od czasu, jak P. Wincenty ustąpił z katedry, odrobił się trochę i napisał wiele rzeczy. *Mohort* wyszedł i zapewne go otrzymasz, bo wraca na kresy; dwa tomy drobnych poezji zaczniemy wkrótce drukować, a do czwartego tomu pójdzie *Wił Stwosz*. Obecnie jest większa rzecz pod ręką, niż to, co P. Wincenty dotąd napisał: tytuł tego *Pacholę Hetmańskie*. Czasy Jagiellońskie — główną figurą poematu Jan hetman z Tarnowa, forma jest, mi się zdaje, zupełnie nowa, język nie książkowy, ale taki, jakiego w owym czasie używano w listach. Materiałów dostarczyły tutejsze archiwa. Rok przeszło upłynął nad samemi studjami, trzecia część poematu napisana, co do objętości, większa od *Mohorta*. Jeżeli by Orgelbrand na seryo chciał nabyć coś od P. Wincentego, to była-by do nabycia nowa serya „Pamiętników P. B. Winnickiego“, która się znowu z trzech części składa.

1-sza część jest „Stryjenka.“ 2-ga „Bannita.“ 3-cia „Polowanie.“ Każda z nich nie jest mniejszą od „Sejmiku w Sądowej Wiszni“ — za każdą żądał-by P. Wincenty 6000 złp., za co-by odstąpił 1 edycję. Z końcem Września mógł-by nabywca otrzymać rękopis. Ledwo żem się nie pomylił, że do artysty piszę; otóż powiem Panu Dobr. jak „Mohort“ jest szlach.(cicem) i rycerzem, tak jest w „Pacholęciu hetmańskim zamierzony obraz polskiego pana, hetmańskiego dworu i buławy na świeczniku dziejów.

Jaki to tytuł będzie tego „Noworocznika?“ Pan Wincenty pyta czy nie *Barcie*? bo w takim razie było-by z czém stanąć do placu. Żegnamy Cię, Kochany Panie, kochaj nas, bądź zdrów a odpisz co rychlój, prosimy.

Sz. Dutkiewicz.

List Sz. Dutkiewicza do Januarego Suchodolskiego.

Zabawny miałem dziś ranek: przyszedł P. Wincenty do mnie i przyniósł „Gazetę Warszawską“ № 37; zdziwiło mnie to, że list

do JP. Dobr., po odebraniu wizerunku Mohorta napisany, wyczytaliśmy przedrukowany. Że list się znalazł, to pojąć łatwo, ale że razem z recenzją wystąpił na widok publiczny, to trochę niedelikatnie ze strony redakcyi. „Jam przywykł już do niełaski „Gazety Warsz.“ i strapił-bym się wówczas, gdyby mnie pochwaliła—rzekł mi P. W.—ale przykro mi, że ta niedyskrecya pewno P. Januaremu nieprzyjemność zrobiła.“

Przytaczam *ipsissima verba*, bo pojmuję, iż Szanownemu Panu wiedzieć trzeba, jak te rzeczy widzi: jaka przeszłość taka i sztuka—jeżeli przeszłość narodu była szlachecką, trudno żeby dziś poezye opiewały żydów i wychrztów warszawskich, lub majestat Redaktorów, i wątpię nawet, mówił P. Wincenty, żeby się nawet P. Januaremu udało wymalować tego czarnego żyda z „Gazetą Warsz.“ w rękę. W istocie jest to swawola ta zarozumiałość podobnej gwiazdki w „Gazecie Warszawskiej“ i dziwić się przychodzi, że też to tak wolno ciskać piaskiem ludziom w oczy. Nam, co z P. Wincentym żyjemy, i którzy patrzymy, z czém w życiu ma do walczenia, zależy jak najbardziej na tém, żeby nie rzucił pióra, zbliżając się do 50-go roku życia swego — nie chce pisać dalej — nam tedy bardzo nie na rękę wszystkie koncepta gazeciarskie o nim. Nie znam człowieka obojętnego na pochwały i nagany; jeżeliby o co nam i jeszcze chodziło, to o to chyba, żeby wszyscy zapomnieli o nim, bo wówczas mógł-by jeszcze pisać długo, a do czego się dzisiaj przybiera, to i do razu kończy — otóż, jako przyjacielowi, komunikuję Sz. Panu ten interes: jeżeli tam możesz odwrócić jaką burzę od jego głowy, to zrób to, bo naprawdę Jemu burzy nie trzeba...

Z Krakowa d. 21 Lutego 1856 r.

*Szymon Dutkiewicz.*

### III.

Przytaczam tu kilka niewydanych wierszy W. Pola, z których najpiękniejszym jest opis współczesnego dworu szlacheckiego, wykończony 1858 r.:

...Po siołach zaszła zmiana  
 Miasto dworu, pałac stoi,  
 Miast dziedzica, miasto Pana,  
 Coś — półdyable, niby — broi,

Co zamorskie chowa sługi  
I ślimaczy żywot wiedzie,  
Kocha małpy i papugi  
I karetką szlakiem jedzie.

Małpy uczą tam rozumu  
A papugi uczą mowy;  
Wiele blichtru, wiele szumu,  
Lecz czczy żywot i jałowy...

Salon, salon — to zadanie!  
Więc do razu wszystko śliczne  
I wykwintne zagraniczne,  
Wszystko, na co tylko stanie,  
Spryt kuglarski, wymysł miękki,  
Co z zgniłego serca rodem,  
Co nie z ducha, ale z ręki,  
Co ni płodne, ani płodem.

Wszystko tu się zeszło razem,  
I ów salon jest obrazem,  
Tłem czarownem, wielką sceną,  
Po której się lalki żoną  
I po której przez swawolę  
Odgrywają jakąś rolę,  
Wyuczona nie zabawnie,  
Odegraną dosyć wprawnie,  
Ze słów wziętych, z danych kroków:  
Za plecyma stert i stoków,  
Za plecyma rolnych kmieci,  
Nędzny żywot blichtrzem świeci  
I komedya idzie ślicznie,  
Albo kończy się tragicznie.

Kto na chlebnój siedząc roli,  
Na przekorę wziął złą radę,  
I z umysłu, i z swawoli  
Zbłądził siebie i posadę,  
Kto już z ziemią nie ma związku  
Ni uczucia obowiązku,  
Jaki Pan Bóg z ziemią złączył,  
Ten śród nas swe dzieje skończył.

Dawniej jam się żalił na to,  
 Że grunt kmieci i rycerzy,  
 Który Pan Bóg tak bogato  
 Nadać raczył — czeladź dzierży  
 Niepotrzebna Panu Bogu,  
 Co nie godna stać przy brogu,  
 Bo choć zbiera, nie szafarzy  
 Łaską, jaką Pan Bóg darzy.

Dziś pojmuję sądy Boże:  
 Godny weźmie ziemię chlebną,  
 A Bóg czeladź niepotrzebną,  
 Co cnót pługiem nie wyorze,  
 Spławi światem aż za morze,  
 W małpie kraje i ślimacze,  
 I w papuzie; bo w téj szkole  
 Wyuczyło się cudacze  
 Więc nie skąpi w swym żywiole.

*Salon* — polem dla prologu  
 A sam dramat — *zagranica*,  
 Byle z domu, byle z progu,  
 To nie świeczka, lecz gromnica  
 Gore piekła już na chwałę,  
 I przymierze z piekłem trwałe.  
 Co nam mówić zresztą o tém?  
 Ha! przepadło, co za płotem!  
 Wam tu nudno — i nam z wami,  
 I gdzie nasz świat, tam nie wasz!  
 A więc w podróż z torbeczkami  
 „Bon voyage! bon voyage!

Waść patrz na to miłosiernie:  
 Niema zboża bez kąkolu,  
 Więc radź sobie na Podolu  
 I patrz ludzi, co tam wiernie  
 W Pana Boga jeszcze wierzą,  
 I po ojcach lemiesz dzierżą,  
 I o sobie mówią sami,  
 Że dla świata chleb łagodzą,  
 Choć czasami boso chodzą  
 Między stadem i stertami!

Na ogłoszenie zasługuje też drobny wierszyk W. Pola, zapisany w albumie jednego z wybitniejszych młodzieńców, rozpoczynającego życie na arenie publicznej.

### Młodemu na drogę życia.

W księdze pamiątek najpierwsza to karta,  
Pierwszy krok na świat, pierwsza w życiu droga,  
Więc porta życia stoi już otwarta,  
Lecz się nie puszczaj na ten świat bez Boga.

Są ciężkie chwile w tém życiu tułaczem,  
Gdzie człek o sobie ostać się nie może,  
I gdzie się nie ma zgoła oprzecz na czém  
Jeśli nie święcą duszy *prawdy* Boże.

Więc się nie puszczaj na świat bez tój tarczy,  
A choć nie wszystko złoży się jak wianek;  
To ci i siły, i drogi wystarczy,  
I będzie wieczór taki, jak był ranek.

I przejdiesz w życiu niby bitym torem,  
W pracy, w pokoju, poważnie i śmieie,  
Jak zwykł przechodzić dzień w Bożym kościele:  
Poczęty jutrznią — skończony nieszporem.

W Krakowie d. 17 Grudnia 1853 r.

W. Pol.

Piękną myśl wyraża następujący wiersz W. Pola, rzucony jakby od niechcienia na ćwiartkę papieru, a przechowany szczęśliwie przez Dutkiewicza:

Chwila uniesień duszy nie wysiła,  
Jako skok lekka poświęcenia chwila,  
I do poświęceń zachęca gwiazd krocie,  
A kto ma skrzydła, temu lekko w locie;  
Ale na drodze obowiązku ciernie,  
Kolej samotna, bez kwiatu i długa,  
I po tój drodze pójść do końca wiernie,  
To nie u ludzi — ale jest zasługa!



## IV.

Oceniano Pola, jako poetę, wydawano o nim sądy, jako o przyrodniku i geografie; ale nikt nie podniósł jego działalności na polu gospodarstwa. W. Pol, szukając — jak się wyraża St. Buszczyński — podstawy w naturze dla dziejów, czyli, jaśniej mówiąc, szukając w przyrodzie kraju i w jego gospodarstwie pierwszego pokładu i pierwszych zadatków do całego rozwoju życia w narodzie, poświęcił się ziemioznawstwu. Ślady pracy w tym kierunku wyrły się głęboko na całej jego twórczości. W poezyi, dla której dobierał zawsze głoskę z natury go otaczającej, w tej pajęczej tkaninie pieśni, którą umiał prząść tak długo a tak cienko i misternie, zapasu przedziwa dostarczała mu przedewszystkiem ziemia, którą sam orał i zasiewał, a z której się spodziewał zbawienia narodu. Słusznie zauważył hr. L. Dębicki, że W. Pol, nie opuszczając kraju, poszedł inną koleją, niż cały zastęp poetów na rozproszeniu; bo kiedy ci ideały swe odrywali od ziemi, w sfery napowietrzne, on pieśń swą przykuł do ziemi, aby wyśpiewała wszystkie jej tętna. Badania przyrody, a może bardziej jeszcze refleksye gospodarskie, ujęły jego wyobraźni nieco lotności, ale nadały jej natomiast świadomy kierunek, podstawę realną. Pieśni jego o kraju ojczystym wiążą się z obrazami życia i natury w organiczną całość, bo intuicya poety spłotła się z obserwacją ziemi do tego stopnia, że trudno nieraz oznaczyć granicę, gdzie się kończy artysta, a zaczyna rolnik.

Osiadłszy po zawierusze lat 30—31 w odludném i dalekiem od świata ustroniu, jako zarządca dóbr, a potem dzierzawca i właściciel wsi w Sanockiem, później w Jasielskiem, miał sposobność obeznać się praktycznie z gospodarstwem wiejskiem, odbywał też częste wycieczki po kraju, spisując na miejscu spostrzeżenia krajoznawcze, o których donosił A. Humboldtowi, zostającemu z nim w korespondencyi. Galicyjskie towarzystwo gospodarskie, w którego rocznikach pomieścił dwie rozprawy, wysłało go 1845 za granicę, w celu zawiązania stosunków, zwłaszcza z podobnemi stowarzyszeniami w monarchii austriackiej i w Prusiech. W rocznikach Biblioteki Ossolińskich, której był redaktorem (1847—8), zachowały się ślady działalności jego w tym kierunku, w licznych rozprawach z dziedziny geografii, nauk przyrodniczych i etnografii, które później uzupełniał na stanowisku profesora geografii fizycznej i porównawczej, w akademii Jagiellońskiej, tudzież w Rocznikach Towarzystwa nauk. krakowskiego; — zupełnie nieznanem jest współpracownictwo jego w „Tygodniku rolniczo-przemysłowym“, wydawanym przez c.-k. Towarzystwo gospodar-

czo-rolnicze krakowskie, gdzie umieszczał prace swoje bezimiennie, albo z podpisem Jasielskiego (od roku 1854). Jeden z tych artykułów p. t. „O potrzebie ogrodowej uprawy jarzyn w gospodarstwach mniejszych“ wywołał polemikę, która, ze względu na poruszony w niej przedmiot o tendencji społecznej, zasługuje na omówienie, tém bardziej, że nawet współcześni nie domyślali się w szermierzu poety. Dowodząc, że ogrodowa uprawa jarzyn była-by nie tylko korzystną dla gospodarstw małych, ale że jest na przyszłość warunkiem ich istnienia, gdyż tylko spoteżone (intensywne), gospodarstwo może na małym kawałku ziemi wystarczyć na wyżywienie rodziny i podjęcie ciężarów, przywiązanych do własności,—powiada W. Pol co następuje: „Wypasy po lasach i dworskich gruntach z jednej strony, a zapomogi z drugiej, wspierały dotąd gospodarstwa kmieci, przymuszony zaś najem dostarczał wiejskiej ludności zarobku i chleba, w czasie ciężkich przednówek; w ten sposób uniknął kraj nieszczęść dla rolniczego proletaryatu, był rzeczywiście produkcyjnym, a ludność jego powiększała się. Ze zmianą stosunków włościańskich wskutek uwłaszczenia, chociaż organizacya nie jest jeszcze w zupełności przeprowadzoną, zmieniły się prawa i urządzenia, lecz nie zmieniła się rzecz sama: lud wiejski nie był nigdy producentem, lecz konsumentem, on mógł być tylko najemnikiem, a gdy cały kapitał siły roboczej wiejskiego ludu nie został, ze zmianą stosunków, z dworskich gruntów przeniesiony na grunta usamowolnionych, ztąd poszło, że niepowrotnie przepadł, że produkcyja rolnicza nie podniosła się w gospodarstwach małych, a upadła w gospodarstwach wielkich. W odpowiedzi na to odpisał ks. A(dam) J(akutowski), w artykule p. t. „Kilka słów o proletaryacie“, dowodząc, że nie jest to żadną korzyścią, iż kraj nasz uniknął proletaryatu rolniczego, ale owszem, zdaniem jego, „największém nieszczęściem rolnictwa u nas jest, że ma za mało proletaryuszów“, „Trzeba — powiada on — żeby wszyscy stali się proletaryuszami, a wtenczas dobry byt się wzmoże i będzie obfitość wszystkiego“.

W następném studyum, ogłoszoném tamże *bezimiennie* p. n. „Koleje, jakie przeszło gospodarstwo wiejskie w Galicyi od początku tego wieku“ (Tyg. roln. przemysł 1854 Nr. 32—9), odciął się poeta następującą na przewrotowe teorye dupliką, wykazując, jaką klęską jest dla ludzkości i cywilizacyi rak pauperyzmu w miastach, a proletaryatu rolniczego po wsiach, toczący zdrowe ciało społeczeństwa. „Dobrze mówić w mieście o korzyściach proletaryatu rolniczego: miasto odsyła gminom wiejskim zbuntajone żebractwo, jak go się bardzo przyźbiera na bruku, a dla reszty jest zawsze gotowe lekarstwo, bo filiżaneczka rumforckiej zupy, a tu znów pole do chrześciańskich

i obywatelskich zasług. Na wsi inna praktyka: tu potrzeba dać chleba, albo pieniędzy, i nie można ubogich odsyłać do Opatrzności Boskiej, bo Opatrznością Boską był dla nich od wieków dwór i plebania, ani do dobroczynnych zakładów, bo tych na wsi niema, ani do pracy w polu, bo kto we dworze siedzi, wie o tém dobrze, że taka zwleczona nędza pracować nie będzie.

Dawniej lubili teoretycy rozróżniać rzeczy; prosimy i teraz o to „*distinguendum est*“; bo co innego jest ubóstwo pracowite, do pracy zdadne, pracy szukające, a co innego jest owa jeszcze rzymska *turpis paupertas*, czyli, po prostu mówiąc, podła nędza, bez Boga, ojczyzny, bez domu, bez rodziny, moralności, zdrowia i siły, która tak ukochała stan swój, że najenergiczniejsze środki rządowe nie nakłoniły jej jeszcze w żadnym kraju do pracy i poprawy jej losu“. Zajmującą jest charakterystyka dworu szlacheckiego. (Rękopis W. Pola Nr. 9, własność rodziny, folio 27 arkuszy) i kolejnie, jakie przechodził w okresie uwłaszczenia chłopów. W. Pol wychodzi tu z tego stanowiska, że wieś staropolska była jednostką społeczną, „monadą w wielkiem gospodarstwie krajowem“, złożoną z dworu, plebanii i gminy, stanowiących, solidarną, zrosłą z sobą całość, którą „w nowszych czasach na szkodę społeczeństwa rozcięto“. Rząd tej jednostki społecznej był patriarcalny. „Na tej hierarchii dworskiego życia i na tym sojuszu z gromadą stał staropolski dziedzic i stało jego gospodarstwo, — a wielkie jest pytanie, kto był więcej zawisłym: czy pan od ludzi, czy ludzie od niego. Kochano się w ludziach, szczycono się ludźmi, szukano chluby z zamożności włościan, z dobrego gospodarstwa na roli, z dobrego bytu podwładnych, a długoletniej ich służby i usług położonych dla domu. Były to wszystko rzeczy, których nie można było koloryzować, każdy miał na nie oko, gdzie nie było istoty, tam nie było i pozorów, a znano się kompletnie na blichtrach.

„Pan rządził okiem, pani pilnowała się szczegółów, każdy wydział gospodarstwa miał swego orędownika. Urządzenia były stare, cele jasno wytknięte, machina gospodarska prosta, każdy tedy błąd i każde uchybienie uderzało na pierwszy rzut oka. Całe urządzenie dworu i budynków dworskich było ściśle do potrzeby zastosowane. „Wołkiem i kołkiem, Chłopkiem i snopkiem“ stawiano budynki. Jak powołanie rolnika proste, tak proste były sprzęty, narzędzia gospodarskie i zabudowania. Drzewo, słoma i glina — to materiał, łyżak i postronek, zamek ciesielski, wrzeciądz i skobel, drzwi i wrota na biegunach, uździenica, koń niekuty, wóz bosy, a ledwo kawałek żelaza na pług i bronę, ledwo kawałek stali na siekierę i dłóto, ledwo zamek i kłódka przy spichrzu i piwnicy, przy komorze i lamusie; za całe rejestra — karby gumienego i kontrola dziesięciny; cały budżet

wsi bywał spisany na jednej karcie kalendarza. Z ganku można było rządzić dworem i wioską, bo bramy i fórtki, i drogi, tak się krzyżowały, że żaden ruch we wsi i we dworze nie uszedł baczno go oka“...

W. Pol występuje przeciw zarzutom, jakie czyniono naszym dworom, a zwłaszcza przeciw okrzyczanemu nieładowi gospodarskiemu. „Inwentarze i graniczniki — powiada — były z całą dokładnością opisane, kontrola była łatwa i pewna, bo machina gospodarstwa nie była jeszcze złożoną; kiedy, po zamknięciu gumien, zjechał szlachcic na folwark, przejrzał karby, opatrzył przy pojeniu inwentarz, w jakim stanie na zimę staje, kiedy próbę omłotów kazał zrobić przy sobie, z nowego wydać ordynaryę, wyznaczył obroki i paszę na zimę, i kazał zasiał przy sobie to, co na rękę wypadało, — nie powracał, aż znowu do pomiaru spichrza, po skończonych omłotach na wiosnę. Jeżeli pan lub ekonom generalny, zjechawszy na folwark, zastał wszystkich ludzi na swoim miejscu, psy w czujności, bramy zamknięte; jeżeli nie było nigdzie niepotrzebnych ścieżek, nowych przetorów, dziur w płocie i w strzesze, bydła w szkodzie; jeżeli nie było rozwalonej sterty, zamokłego brogu; jeżeli było czysto ograbane i podmiecione boisko i gumno, zboże w sąsiedkach znaczone, karby na pierwsze zawołanie, a mało skór na bantach: to mógł być pewnym, że się nieźle dzieje na folwarku, że i nieźle gospodarzą, i nie wiele kradną, i ukraść nie dadzą“. W. Pol występuje przeciw utartemu wyobrażeniu, że staropolskie gospodarstwo było trzypolowem, twierdząc, że stosowało się ono do warunków miejsca i czasu. I tak np. w górach było właściwie tylko dwupolowem, gdzie w jednej ręce przypadał ugór, w drugiej owies.

W lepszych ziemiach było niby to „trzypolowe gospodarstwo“, ale nawet w najlepszych czasach nie obsiewano całej ręki, chociaż pola były podzielone według tego systemu. Nie działało się to z niedbalstwa, lub dla braku pociągu i rąk, ale w tém przekonaniu, aby mieć wypoczętą ziemię i więcej obszaru pod letnie pastwisko. Było to przysłowie „Każdego oszuka, ale Boga i ziemi nie oszuka“, „Ziemia mać, ale trzeba jej rękę dać!“ — Otóż, aby mieć zbiór pewny, aby, co się zbierze, dobrze sypało, siano niewiele, a zbierano wiele, jak świadczą stare inwentarze i rejestra. W rozprawie, drukowanej bezimiennie p. t. „Z Jasielskiego“, dowodził poeta, że siłą kapitału zaprowadzone gospodarstwo płodozmienne za granicą spowodowało „upadek właścicieli dóbr w Galicyi, — którzy po gospodarstwie spóżytem (intensywnem) jęli się obszarowego (extensywnego). W rękopisie dodaje tu uwagę, której niema w druku, że „z całą ścisłością naukową nie można brać tych pojęć. Staropolskie gospodarstwa

były intensywne, czyli na małym obszarze skupione; gdybyśmy jednak ściślej to pojęcie ograniczyć chcieli, wypadło-by raczej powiedzieć, że były te gospodarstwa dowolne na pozór, a w istocie zastosowane do miejscowej natury. Szczególniej ta część kraju (południowa), która się dostała pod panowanie Austrii, była ożywioną rolniczym przemysłem i produkcją rękodzielniczą, połączoną z produkcją surowych płodów ziemi. Wszystkie miasta podgórze i Nad-Wiśla żyły głównie przemysłem i handlem, a dopiero rząd austriacki skazał ten kraj na wyłącznie rolniczy, nie dając ziemi warunków rolniczego kraju. Studium to o kolejach gospodarstwa w Galicyi zaopatrzył W. Pol w rękopisie następującym wstępem: „Rozprawa ta była umieszczoną w „Tygodniku rolniczo-przemysłowym“ bezimiennie, a ztąd przeszła prawie bez wrażenia, bo koło czytelników tego pisma było bardzo małe, a bezimienna praca nie zwróciła na siebie uwagi. Były powody czasowe i względy, które autora wówczas zniewalały do zakrycia swego nazwiska, (wspomniana polemika z ks. Jakubowskim). Te względy nie mają dziś mocy, a czego autorowi jasno wówczas wypowiedzieć nie było wolno, to może sobie dziś każdy dopowiedzieć sam, gdy tę pracę odczyta. Jest to jedyny materiał przetrawiony do historii rolnictwa w kraju naszym, którą kiedyś ktoś napisze; co więcej, jest to wskazówka, jakimi drogami doszło gospodarstwo nasze, koleją zmian, do stanu, w jakim je dziś widzimy. Chcąc osądzić, gdzie dziś stoimy, trzeba przejść z autorem przebytą drogę w ciągu połowy XIX wieku, a zrozumiałym stanie się stan dzisiejszego naszego gospodarstwa pod wpływem zmian kolejnych, tak społecznych, politycznych, jak gospodarczych, któreśmy w tym wieku przeszli“.

Praca ta W. Pola, zasługująca rzeczywiście na ogłoszenie, choćby tylko ze względu na prześliczny język, nie może nas tu zatrzymać, spieszo nam bowiem do podania bibliograficznej przynajmniej wzmianki o innych nieznanach pismach poety, treści gospodarczej, zalegających w rękopisie, albo drukowanych bezimiennie. W pracy p. n. „Proszę do pasieki“, będącej odpowiedzią na bezimienne odezwy, oskarżające autora o „dążności wsteczne“, staje W. Pol na stanowisku „postępowego pszczelnictwa“ (teorii Dzierżona), podając ciekawy „Dzienniczek podróży zwiedzającego pasieki galicyjskie“. Wychodząc, jak we wszystkich zresztą artykułach gospodarczych, po-za granicę zawodowego traktowania rzeczy, kończy poeta swój przedmiot temi słowy: „Jest przekonanie głębokie w narodzie naszym, że pszczoły wiodą się tylko ludziom cichego serca; jest to ewangeliczna prawda, którą lud inaczej orzekł: „błogosławieni cichego serca, albowiem oni ziemię posiadają“. Upadek pszczelnictwa

u nas jest tylko wymownem świadectwem upadku moralności wiejskiego ludu; staranne hodowanie pasiek było w starożytnj Polsce nie tylko gospodarskim, ale i humanitarnym środkiem, i dlatego szczególnie od całego duchowieństwa pielęgnowane i protegowane. Świeca jarząca gorzała na ołtarzach, jako wymowna ofiara wiary i miłości gorącej duszy; miód należał do najprzedniejszych darów ziemi, które ze czcią podawano przybywającemu przychodniowi na progu domowym. Hodowanie pszczół uzacnia człowieka, bo daje mu obraz wiecznie żywej i szczodrej ręki Opatrzności, która wszystko błogosławieństwem swoim napelnia.“

„Dziś tedy, więcej niż kiedy, nie należało-by spuszczać z oka hodowli pszczół, jako ważnego humanitarnego środka w moralnem gospodarstwie krajowem; komuż było-by tedy do zalecenia hodowanie pszczół, albo czyjś poruczyć je znowu pieczy, jak nie pieczy małych gospodarzy i duchownych? Nic nie widziałem od dzieciństwa piękniejszego, jak przejście kapłana z owczarni swojej, od tego gospodarstwa moralnego, do pasieki, jak do gospodarstwa żywej Opatrzności Bożej w naturze, i nie mam tego wcale za przypadek, że się najdlużej w ich rękę przechowały pasieki i blichy woskowe, tudzież, że poprawnego gospodarstwa pszczelnego wzorem stał się Dzierżon, kapłan z powołania.

„Odrotna strona medalu“, napisana przez W. Pola między 1850 a 1855, (rękopis Nr. 17, własność rodziny), odsłania nam wady i grzechy szlachty galicyjskiej. Na pytanie: jakie jest wykształcenie dzisiejszych właścicieli dóbr? odpowiada poeta: „Synowie obywatelscy idą pospolicie do pewnych lat trybem szkolnym, lub chodzą do pensyonatów prywatnych, gdzie się wszystkiego uczą, prócz tego, coby im było właściwie potrzebnem w ich przyszłem powołaniu. W ukształceniu zaś kobiet tworzymy idealną sferę salonu, i ściśle do tego jest zastosowane całe prowadzenie się, cały zwyczaj i obyczaj dzisiejszego dworu. Kawaler ma mieć wszechstronną encyklopedyczną ogładę, panna ma być ozdobą salonu, życie przyszłe tych ludzi układa się estetycznie, jak teatralna rola, którą gdzieś i kiedyś odegrać przyjdzie. Do tej perfekcyi dojść nie łatwo, bo to i przetarcie, i wytarcie, i wypolerowanie, i taniec, i języki, i talenta, a wszystko ma być w największej perfekcyi, bo tak jest tam i tu, i tak trzeba, żeby wszędzie było. Czego się panicz nie douczył w szkole lub w pensyonacie, tego dokona oczywiście wojaż, wojaż u kawalera, a u panny roczny lub dwuletni pobyt w wielkiem mieście za granicą, dla skończenia edukacyi, jak się to mówić zwykło. Wszystko było-by bardzo dobrze, ale nieszczęściem poczyna matka tam dopiero edukację, gdzie ją córka ma kończyć, i jeżeli dotych-

czas widzieliśmy dwór wiejski tylko w roli salonu, to teraz widzimy rolnika z całą jego rodziną w roli turysty. Mówilem, że tu się rozpoczyna edukacja matek, gdzie się miała właściwie kończyć edukacja córek — tłumaczę to teraz. Wielmożna pani robi tu wielkie i nowe zupełnie odkrycia: naprzód, że wszystko za granicą jest bardzo tanie; że, kolejną jadąc, podróżuje się prawie za darmo; że wszystko tu lepsze, czystsze, mądrzejsze, piękniejsze, bez kłopotu i zajęcia, poczynając od służby i stołu, a kończąc na widokach, wodzie i powietrzu. Powaby cywilizacyi są ogromne. I cały przemysł tylko na tém, jakby przedłużyć podróż, pobyt za granicą i edukację córek? Jegomość przeto, jako sprzęt niepotrzebny, odsyła się do domu, z surowém poleceniem, aby pieniędzy przysyłał jak najprędzej, a sam wracał — jak najpóźniej. Dzieje się to zwykle pod jesień, a przez zimę robią panienki niesłychane postępy w naukach, językach i talentach. Z wiosną wypróżniają się wielkie miasta, pierwszy jój oddech wywołuje przechadzki i wycieczki mniejsze; następnie przychodzi *saison des bains*, a oczywiście wody za granicą są tak skuteczne, a nadewszystko tanie, że niepodobna nie jechać do wód. — Na zimę wraca się znowu do miasta: w planie edukacyi panien nowe widoki i zmiany, coraz to inni mistrze i nauczyciele, postępy w naukach i talentach coraz większe, a choć pani w każdym liście zachwala taniość zagranicznego życia, nie może jegomość pojąć dobrze tej teoryi, bo z każdym kwartałem musi przysyłać coraz grubsze weksle“.

„Upraszał nieraz Jegomość usilnie, aby przecież choć na parę miesięcy powrócić do rodzinnéj wioski, gdzie tak miło, i cicho, i zdrowo; ale na to nie dała się żadną miarą nakłonić pani, zajęta tylko przyszłym szczęściem i doskonałością swoich córek: bo najstarszej potrzeba jeszcze ostatniej ręki wielkiego salonu, średniej prymadonny włoskiej opery, a najmłodsza jeszcze nic nieuformowana i nie może wchodzić w świat; bo głównie chodzi tu o wrażenie, jakie sprawią panienki przy pierwszym swoim wystąpieniu, od tego bowiem zawisłe jest wyobrażenie, jakie o nich świat poweźmie, od tego zawisły przyszły ich los.“

„Szczęściem, przeważa w końcu zawsze jeszcze gospodarski rozum wiejskiego szlachcica, zdobywa się na resztę sarmackiej dzikości i energii, spada jak piorun do wielkiego miasta, i w dwudziestu czterech godzinach kończy edukację córek, zabrawszy żonę i dzieci, papugę w klatce i papugę w mantylce. Tu się poczyna termin twardej: dom opustoszał, służba to się rozlała, to wymarła; dwór duży, zimny i brudny; brak towarzystwa, widoków, konwersacyi, żurnali, kolei żelaznej i najszcześliwszych wycieczek; słowem, niema ani domu, ani towarzystwa; sąsiedzi gbury, a sąsiadki takie gęsi, że nawet

nie mają zmysłu do ocenienia tych wszystkich doskonałości i wykwintów w ukształceniu panienek, nad któremi matka z takim poświęceniem pracowała za granicą. Zwolna tedy poczyną się przekształcać całe urządzenie domu, służby i sposobu życia; wszystko trzeba sprowadzać z za granicy: sprzęty, naczynia, stroje“.

„Mówi nie potrzebuję, iż córki podzielają zupełnie zdanie pani matki i tworzy się nieprzyjacielski obóz we własnym domu, który zapewne nic nie pomaga do poparcia gospodarstwa rolnego; bo wówczas, kiedy szlachcic musi szukać żenców do żniwa, kłopotać się zmianą pieniędzy na drobne, lub ucierać się z lichwiarzami o ubiegłe a niewypłacone weksle, wówczas każą mu córki admirować kawatyne, a żona wyprawia go do miasta po odebranie pak i frachtbryfów na nadeszłe rzeczy z za granicy, nieodbitcie potrzebne do umeblowania domu i toalety, właśnie w tój porze roku. Sięgnijmy wstecz pamięcią, a ujrzymy, że niepomyślność dworu polskiego poczyną się w każdej pojedynczej rodzinie od tego czasu, od którego poczęto dzieci edukować za granicą. Babki były jeszcze gospodynie wielkie, miały staropolskie apteczki i spiżarnie, komory, lamusy i piwnice, wierzyły w dozór, w ład, w oszczędność, w klucz, w zamknięcie i zapas; nie lubiały się mężom spowiadać z swych potrzeb, bo miały drób, młyn, pasiekę, sad, nabiał i przysiewki lnu i konopi, prządki i motki, półsetki i skóry, i w szczęśliwym pokoju, szanowane od sąsiadów i rodziny, starzały w jednym domu, przesiedziały wiek w jedném krześle, przemodliły święta w jednym kościele i legły w grobie ojców, ciesząc, lecząc, ucząc, żywiąc i bawiąc tych, co je otaczali, których im Bóg za najbliższych dał i przeznaczył, z którymi padło im sąsiadować, krewnić lub koligować. — Była powaga, był wielki posłuch w domu, wielka cichość, spokojna praca, i było miłe świąteczne wytchnienie. Matki poczęły się już wyłamywać z wolna z obowiązków babek; poczęły więcej żyć w bawialnym pokoju i w stołowej izbie, w ogrodzie zabawnym, dla zabawy i gości, za domem w sprawach publicznych; ale wiedziały jeszcze, jak za ich matek bywało, umiały utrzymać dom w karności, dzieci w posłuszeństwie, i wiedziały, czego się domagać można od klucznicy, gdzie leży sekret ładu, czego do domu potrzeba? Córki ich straciły już zupełnie tradycyę domowego zarządu i ładu, a wnuczki są kompletne lafiryndy, które tylko gospodarzą pełną sakiewką złota, podług adresu, i szpajzcetlą, i to nie w kraju, ale za granicą. Wszystko jest tedy kupne, i cała apteczka, i spiżarnia zaciężyła na budżecie wioski, z tą tylko różnicą, że kiedy dawniej przysmaczki godziły się tylko dla gości, lub na święta, to dziś należą do powszednich potrzeb codziennego życia; a że mleka niema, więc i nabiał na kuchnię i do stołu kupować potrzeba. Trzy



węgły domu trzyma żona, czwarty dopiero mąż — jest to staropolskie przysłowie, które bardzo prawdziwie oznacza stosunek gospodarstwa do gospodarności“.

„Jeżeli trzy węgły domu już runęły, czyż na długo jeszcze ostoi się czwarty? Oto portret tego ostatniego, t. j. gospodarza wiejskiego, zamienionego w rentyera. On sam żyje jeszcze resztką stosunków, to familijnych, to przeszłej pozycyi swojej; ale dzieci jego nie należą już do nikogo, mieszkają po hotelach, bawią się po kawiarniach i balach, a kończą na lichwiarstwie i nędzy“.

„Teorya zmobilizowania kapitałów rozbija się o naszych rentyerów, bo oni noszą listy zastawne i weksle w torebkach na piersi i odcinają kupony dwa razy do roku: raz przed wyjazdem do Marienbadu, a potem, kiedy partya wista i preferansa idzie w jaknajlepsze. Nasi rentyerzy nie dodadzą życia w grze giełdy, gdzie się wielkie pieniężne interesa ważą, ale przy grze w karty znajdziesz ich zawsze; zresztą zaś prowadzą życie miejskie, cały sposób życia ułożyli ostrożnie i bezpiecznie, widują się tylko czasem z żonami własnemi i bawią się na dorywki, to lichwą, to skupywaniem korzystnych interesów. Czém ma być syn takiego rentyera?... Jeżeli całym zadaniem życia ojca było, żeby suchą nogą po kamyczkach przeszedł z pularesem na piersiach, to syn jego pewnie wlezie już w błoto; bo nie miał wzoru w ojcu ani charakteru, ani uczciwości, ani pracy; bo wzrósł bez tradycyi, powołania i zajęcia; większy jeszcze nierównie egoista od ojca, pragnący jaknajprędzej posiadać jego kapitały, lub przyjsć jakimkolwiek kosztem do czyichkolwiek kapitałów, bo te rzeczy lubią iść w progresyi, i wylamanie się od wszelkich obowiązków w społeczeństwie tworzy ludzi, społeczeństwu niebezpiecznych: niesłuszne akwizycye nie są czém inném, jak tylko rewolucyjną dążnością, pod pokrywką konserwatyzmu“.

„Rentyer tego rodzaju jest u nas przyczyną kolonizacyi na wsi, w mieście źródłem zgorzenia, w podróży źródłem złej opinii dla narodu, bo jest człowiekiem bez barwy, bez opinii, bez zasad, bez powołania i charakteru. Szczęściem, że się takie rodziny prędko kończą, i że ani ich mienie, ani ich tradycya nie przechodzi już do wnuka“.

Charakterystyka gospodarki dworu, odnośnie do ludności wiejskiej, zajmuje resztę uwag W. Pola, który w rozprawie tej nie podaje lekarstwa na poprawę złego, ale zadawała się wypowiedzeniem, „co się robić nie godzi i nie powinno“, zastanawiając się tylko, „zkaż złe poszło i jak dalece się rozkrzewiło“, wykazując ogólnikowo tylko „potrzebę“ poprawy gospodarzy i „powrotu ich do domowego i rolniczego rozumu“. „Parę słów W. Pola o lesie“ wywołanych zanikaniem lasów w Galicyi, zagrażającym mieszkańcom nędzą albo wylu-

dniem, co szlachta, śpiąc na wygodnej poduszce, przyjmowała do wiadomości, utrzymując po staremu „nie było nas, był las — nie będzie nas, będzie las“, streszcza się głównie do omówienia dzieł A. Thierota. (Technologia leśna, Kraków 1856) i A. Połujańskiego (Opisanie lasów, Warszawa 1855).

Artykuł bezimienny p. t. „Popiersie Dezyderego Chłapowskiego“, uważanego powszechnie za reformatora gospodarstwa w Wielkopolsce, napisał W. Poł na widok fotografii z biustu marmurowego H. Stattlera, domagając się poczczenia zasług tego weterana od pługa przez c.-k. towarzystwo gospodarczo-rolnicze. Domyślam się, że i korespondencje z Jasielskiego, znaczone literą Y, w Tygodniku gosp. roln. 1856 Nr. 16, str. 126 i Nr. 3; str. 279, pochodzą także z pod pióra poety, jakkolwiek niema na to dowodów w papierach rodzinnych, między którymi znajdujemy, oprócz projektu W. Poła do statutu emerytalnego dla ofycjalistów prywatnych, drobniejsze wiadomości z dziedziny gospodarstwa rolnego.

Rozprawka p. n. „Słów parę o żywych płotach“, napisana jeszcze w roku 1851, zawiera kilka cennych rad, z własnego doświadczenia zebranych, a wypowiedzianych w formie żywej, zajmującej. Poeta nie tai trudności i przeszkód, na jakie natrafia u nas ogrodzenie w ogólności. „Łatwiej jest — powiada — reformę jakiegokolwiek parlamentu w świecie przeprowadzić, niż praktycznie urządzić chociażby jedną wioskę, bo z tych trzech kwestyi: „od czego się ogradzamy? po co grodzimy i co grodzimy?“ mało kto chce zdać sobie sprawę. Z jednej strony gnusność i nałóg stoi tu na zawadzie, a z drugiej spaczony wyobrażenia o własności i brak prawnych i społecznych pojęć. Bo ogrodzenie towarzyszy pojęciom własności, a płot, rzecz na pozór obojętna, ma swoje wcale nieobojętne znaczenie i grunt swój w pojęciach ładu i prawa“. Z pola czysto gospodarskich przepisów wylatuje poeta najchętniej w sferę życia społecznego, aby zaczerpnąć stąd kilka uwag tej oto treści: „Ile z jednej strony, przy urządzaniu żywych płotów, na to uważać należy, żeby jak najmniej było bram i fórtok, tyle z drugiej strony nie radziłbym zagradzać odwiecznych ścieżek i przełazów. Doświadczenie bowiem naucza, że płot bywa rok rocznie w tém samym miejscu wylamanym; a kędy już ludzie wydeptali ścieżki, lub kędy było chodzić nawykło, tam potrzeba już rzeczywiście robić dla bydła bramy, a dla ludzi przełazy, lub fórtki na wschodach, bo znać, że tu miejscowość prowadzi, a pogwałcić rzeczywiste potrzeby nie uda się nigdy bez szkody“. „Różny cel jest płotów: nie wszystkim zapewne odpowie płot żywy, bo i płot ocierniony, parkan i mur nie dają ostatecznie bezpieczeństwa; pomimo to jednak grodzimy płoty, budujemy parkany

i stawiamy mury; to samo da się powiedzieć i o żywych płotach, że albo wszelkie ogrodzenia nie zdały się na nic, albo że i żywe płoty mogą odpowiedzieć celowi i służyć za pewną obronę od bydła i ludzi. *W każdym wszakże płocie jest to najlepszego, iż ma bronić, że daje uczucie bezpieczeństwa i wyobrażenie własności.* Są to niezawodnie wielkie korzyści, o których i nie myśląc nawet, robimy wszelkie ogrodzenia instynktowo prawie. O wszelkich zaś żywych płotach da się to powiedzieć, że potrzebują nakładu i starania wielkiego, tudzież, że niepotrzeba o nich rozumieć, jakoby się same strzeżły, lecz że muszą być strzeżone. Pospolicie nie zwykliśmy żałować na nakład, kiedy chodzi o wprowadzenie nowych ulepszeń, lub nakładów nowych; ale najmniejszy koszt, wyłożony na zapewnienie dozoru kosztownych częstokroć inwentarzów lub nakładów, zdaje się nam ciężki. Tymczasem, kto chce zaprowadzić żywe płoty u siebie, mianowicie zaś w majątku większym, i utrzymać takowe w dobrym stanie, ten niech pomyśli o osobnym płotowym, którego-by jedynie obowiązkiem było mieć około płotów staranie“.

„Utrzymanie jednego człowieka więcej jest w dzisiejszych czasach zapewne rzeczą namysłu. Lecz zastanówmy się, ile-to robocizny wychodzi rocznie w każdym gospodarstwie na ciesanie kołów, na cięcie chróstu i ciernia, na sprowadzanie tego materiału, a w końcu na grodzenie i ciernienie, podpieranie i łatanie płotów? wówczas, okaże się korzyść i płotowego utrzymanie nie wyda się ciężarem. Ta ciągła opieka i czujność nad rzeczą pożyteczną ma jeszcze nadto swoją stronę moralną, bo kształci ludzi i przyzwyczajają ich do porządku, do dbałości i szanowania własności cudzej. Miedza graniczna, płot, zagroda, była dawniej rzeczą świętą i nietykalną u nas; dziś wypada jej nadać czujnością i nadzorem przynajmniej prawne znaczenie, a wielką szkołą do odnowienia granicznych tradycji i wprowadzenia tych prawnych pojęć u ludu było-by zaprowadzenie żywych płotów w czasie dzisiejszym“.

„Widząc potrzebę reform w opłoceniach gospodarskich i zamienienia zwykłych płotów na żywe, nie można nie wiedzieć tego, iż są okolice i miejscowości, gdzie się ta reforma przeprowadzić nie da, gdzie raczej o tём myśleć należy, aby materiał do płotów dogodny znalazł się na miejscu. Są okolice, gdzie się kradzież stała gałęzią przemysłu miejscowej ludności, gdzie ani sadu upilnować, ani pasieki, ani warzywnego ogrodu, ani nawet na ogrodzie koniczyny i trawy; gdzie własność, leżąca pomiędzy drogami a wygonami, zewsząd jest przystępną, i gdzie tylko za dobrym płotem cierniowym i bramami siedzieć można, a nadto jeszcze trzymając psy czujne, które także nie długo służą, bo złodzieje umieją truć psy bardzo zręcznie, miano-

wicie te, które im się ująć nie dadzą. W takich tedy miejscowościach, blisko miast i gościńców położonych, trzeba się trzymać płotu i postarać się o materiał do niego na miejscu“.

Mianowanie nowego ministra rolnictwa obudziło w Galicyi pewne między szlachtą nadzieje dźwignięcia rolnictwa z upadku, przez wyprowadzenie kraju na niezajęte dotąd pole wszechwładnej zasady ekonomicznej. Rząd austriacki, jak wiadomo, skazał Galicyę wyłącznie na rolnictwo, nie dając jej warunków, dla kraju rolniczego potrzebnych. Zniszczenie lasów, zaoranie pastwisk, wyjąłowanie ziemi i jedna z największych, bo chronicznych, klęsk: powódzie — to owoce tej polityki. Resztę dokonały biurokratyczny fiskalizm i wyzysk lichwiarski. Chcąc z tego stanu dźwignąć rolnictwo, należało jego powołanie społecznie uznać i stan rolniczy w społeczeństwie równoprawnić z innymi. Do tego dążył „Memoryał“ W. Poła, wyłuszczający potrzeby kraju wobec ministerjum rolnictwa (rękopis rodziny). „Wszystkie zawody — powiada W. Pol — patentują swoich ludzi hierarchicznie, otwierają dla nich karierę, dają znaczenie, wziętość, dostatek, lub, po latach wysługi, zapewnienie życia“.

„Któż służy u nas rolnictwu? Mamy raczej proletaryat rolniczego powołania, niż stan rolniczy. Dla ludzi powołania rolniczego trzeba tak dobrze, jak dla każdego innego stanu i powołania, zakreślić kurs nauk teoryi i praktyki, potrzeba wyznaczyć komisję egzaminacyjną do patentowania kandydatów zawodu rolniczego. Dzisiejsze położenie ludzi służących rolnictwu jest społecznie tak smutne, iż przy takich organach krajowego gospodarstwa, nie dźwignie się ani stan, ani produkcya kraju. Bo potrzeba to sobie powiedzieć jasno, iż, przy dzisiejszej zmianie stosunków społecznych, zwątpił rolnik o siebie i powołaniu swoim, bo na większego właściciela uderzyły reformy i niwelacyjne teorye, małemu właścicielowi ziemi brak obrotowego kapitału i zaciążyła na nim lichwa, wyzuwająca go z własności, a oficyaliści prywatni w końcu, wiedząc to, że wszystko i wszystkich równouprawniono, prócz nich w społeczeństwie, czują się upokorzeni i pokrzywdzeni, nie zajmując społecznie żadnego stanowiska. Ukończeniem kwestyi serwitutów, komisji katastralnej i wprowadzeniem w życie ustawy i przepisów, tak polowej, jak leśnej policyi, ubezpieczyła się własność i pozycya właścicieli większych ziem; mniejszych obywateli trzeba prawnie wziąć w opiekę i zapobiedz ich wywłaszczeniu, które zagraża właścicielom mniejszym w całych okolicach naszego kraju. Patentowaniem w końcu ludzi i służby rolniczej otworzyło-by się dzisiejszemu proletaryatowi powołania rolniczego w społecznych stosunkach drogę, tak do prywatnej służby, jak publicznej“. Analizując grunt, na którym ma budować

ministryum rolnictwa, przykłada poeta lupę do naszych instytucji rolniczych. „Towarzystwa rolnicze — powiada — reprezentują u nas tylko pewne ambicje i pewne względy towarzyskie, niekiedy pewien stopień inteligencji, ale nie reprezentują właściwie interesów stanu rolniczego. Towarzystwa rolnicze zamknęły się w sobie, nie umiały obudzić żywego udziału stanu rolniczego i zamieniły się w biura, wyrabiające niedbale zaległości swoje. Ztąd poszło, że się specjaliści ludzie i zawołani rolnicy usuwają od towarzystw tego rodzaju, a kraj niesłusznie wymaga z drugiej strony, ażeby komitety towarzystw rolniczych pracowały za kraj cały. Prawdziwy punkt oparcia mogą dać władzy tylko wystawy rolnicze, leśne, wystawy pojedynczych gałęzi produkcji krajowej, na których zupełnie inni występują ludzie specjalnych usposobień, z powołania rolnicy, gospodarze i producenci. Towarzystwa rolnicze i leśne są tedy tylko o tyle ważne, o ile służą im prawo urządzania wystaw. Jeżeli ministryum w tym kierunku obudzi działalność towarzystw, powróci im życie. Innego poparcia nie może im ani dać, ani się od nich spodziewać“. W. Pol proponuje dalej ustanowienie radców rolniczych w celu wszechstronnej reformy rolnictwa. Rady ci mieli-by być wszędzie z krajowców mianowani, płatni, nie tworzyli-by instytucji gremialnej, lecz byli-by odpowiedzialni osobiście ministrowi za swój okrąg i czynności swoje, a zadaniem ich było-by studyowanie warunków i potrzeb rolnictwa w kraju, rozpoznanie tak stosunków produkcji, jak pracy i najmu, rozpoznanie stosunków tak targu, wywozu, zawał, które rolnictwu na przeszkodzie stoją, ogłaszanie i wykonywanie wszelkich rozporządzeń ministryum, tudzież proponowanie stosownych czasowych ulepszeń.

W celu polepszenia rolnictwa poleca W. Pol wprowadzenie niższych szkół rolniczych, w każdym okręgu przynajmniej po jednej, założenie czasopisma gospodarstwa narodowego, zakładu aklimatyzacji zwierząt i roślin, wreszcie akademii rolniczej z katedrami: chemii rolniczej, encyklopedyi nauk rolniczych, administracji i statystyki rolniczej. Przeważna część tych zadań, jakkolwiek może w szczegółach niepraktycznych i dziś przestarzałych, zrealizowana została w Galicyi (akademia agronomiczna w Krakowie, niższe szkoły rolnicze na prowincyi i t. p.), co dowodzi znajomości istotnych potrzeb kraju, wyrażonych w Memoryale W. Pola.

## V.

O wielkiej gorliwości w wierze katolickiej, której składał poeta ofiary, świadczy memoryał o odbudowaniu kościoła św. Trójcy O. O.

Dominikanów w Krakowie, przedłożony o nowym roku 1858 prowincyałowi zakonu kaznodziejskiego, ks. J. Szelidze, gdzie W. Pol podawał środki dźwignięcia pogorzałej nawy kościelnej, „o którą poszły niemiłe i niesprawiedliwe zarzuty, rekryminacye, tłumaczenia i żale, kiedy kościół stał pustką, — według starożytnego przysłowia polskiego: „Gdzie wielu źle czyni, tam wszyscy szukają winnego“.

„Nie chcemy — powiada W. Pol — nikogo oskarżać o złą wolę, ale oskarżamy o nietrafność w doborze środków; i owszem, od samego początku odbudowania kościoła św. Trójcy widzieliśmy ludzi najlepszej chęci zebranych około tej pracy, ale zawsze brakowało jedności planu w działaniu; bo ci, którzy przykładali ręki do odbudowania tego kościoła, albo wyłamywali się z pod nadzoru dyecezyjalnej władzy, albo, co więcej, wbrew jej woli działali, albo, wzięwszy na siebie pewne pojedyncze zadanie, dopełnili takowego w danych granicach, jak naprzykład odbudowanie kaplicy księżąt Lubomirskich, która już jest pokryta, lub całkowite a tak ozdobne wyrestaurowanie kaplicy Przeddzieckich, która już jest ukończoną, z bardzo znacznym nakładem i prawdziwie artystycznym znanstwem: to wszystko jest jednakowoż mało znaczącem w porównaniu rozmiarów opustoszałej świątyni i tego, co jeszcze zrobić przychodzi.

„Od początku odbudowania kościoła św. Trójcy przykładały się czynnie bractwa kościelne i komitety różnego składu, bez których i dziś nie jest; wszakże, gdy ten skład rzeczy i postępowania nie bierze skutku, gdy podłatane na nowo filary runęły, a kościół, już całkowicie dachem nakryty, stanął znowu pustką i bez dachu, bo go w części bardzo znacznej rozebrać musiano, widzimy, że to wszystko nie wystarcza, i że tu żadne rekryminacye nie pomogą: jeżeli kościół ma stanąć, wypada prosić o odnowienie tak ogółu kościoła, jak szczegółów całości, podać te prace do wiadomości publicznej, zrobić kosztorys, rzecz wszem wobec jawną, i przysporzyć środki, potrzebne na pokrycie tego wielkiego przedsięwzięcia“.

„Nieraz słyszałem, że odbudowanie kościoła św. Trójcy nie wzbudza dlatego sympatyi w kraju, bo wiadomą jest rzeczą, że W. W. O. O. mają fundusze własne, za których pomocą kościół-by mógł stanąć: zdanie to popierać się zdawała okoliczność, że po pogorzeli Krakowa przybrano się wprzód do restauracyi domów, które są własnością księży Dominikanów w ulicach klasztorowi przyległych, niż do odbudowania samego kościoła“.

„Gospodarstwo potrzebuje naprzód parobka, który-by na nie robił: taka była pod tym względem odpowiedź ludzi praktycznych; inni mówili, że może-by praktyczniej było, wyrestaurowawszy jedną kamienicę, wyrestaurować na przemian choć jedną kaplicę? Nie chce-



my rozstrzygać tej kwestyi, bo wychodzimy z zasady, że nie mamy prawa do rozstrzygania kwestyi podobnych: księciół władza mieniem swoim, jest to zasada stara w kościele naszym, a świeżo wszem wobec potwierdzona. Sumienie pobożnych zakonników oblicza się z fundatorami i dobrodziejami kościoła w modlitwie. Zostawmy podobnie tkliwe i drażliwe liczby na stronie, a obliczmy się raczej z sobą, czyśmy przybyli w pomoc Bazylice św. Jacka, tak jak na wiernych synów kościoła przystało?“

Rady W. Pola ku podźwignieniu stariej bazyliki, pierwszej, którą św. Jacek wznosił na ziemi polskiej, streszczają się w 7 następujących punktach: 1) „Wychodząc z zasady, że sprawy kościoła płynąć powinny wielkiem korytem, a nie dzielić się na drobne ramiona, po których pozostaje mielizna, dowodzi potrzeby nadzoru i zarządu z ramienia dyecezyi, w porozumieniu z przełożonymi zakonu; komitety zaś, bractwa, cechy i tym podobne stowarzyszenia, kierowane być winny ku wytkniętemu celowi według potrzeby, a nie działać udzielnie, oddzielnie i samowładnie! 2) Jedność w działaniu i kierunku pracy wywoła za sobą wypracowanie planu całej budowy i obliczenie kosztów, na odbudowanie kościoła potrzebnych, a plan i kosztorys wypada ogłosić drukiem. Jedni obawiają się tego, że księciół będzie zawiele kosztował; drudzy tego, żeby ktoś nie wziął za złe ich usilności; inni tego, że się coś bez nich robi i stanie; a jeszcze inni, że nie wiedzą, co się dzieje i czy to wystarczy, z czem w pomoc przybyć gotowi? na to wszystko jedyny ratunek: sankcyja z góry i pewność w działaniu“.

„Ze względu na wielką liczbę, którą poda kosztorys odbudowania, powtarzamy tu radę ludzi praktycznych, aby otworzyć kwestę do zbierania materiałów budowlanych w naturze, żeby koszta restauracyi, ze strony zakonu, odniosły się tylko do nieodbicie potrzebnych artykułów, jakimi są: robotnik, żelazo, cios, cegła i piasek, drzewo zaś, gips i wapno potrzebne, żeby zebrać za pomocą kwesty“.

„Prowincya św. Jacka jest wielka i obszar, który on apostołskimi swojemi stopami obszedł, pomieścił w ślady Jego całą Hierarchię duchowieństwa świeckiego; ztąd uczynił nadzór specjalny, wraz z przełożonymi zakonu kaznodziejskiego, znaczne kroki ku temu, aby we wszystkich dyecezyach, leżących w prowincyi Ś-go Jacka, uorganizowano składki. Wypada się dla pogorzałych i opustoszałych kaplic starać o fundatorów nowych. Należy upatrzeć i skłonić pojedyncze rodziny możne do restauracyi pojedynczych kaplic, na własną rękę lub zbiorowo, z pomocą pokrewnych sobie rodzin. Niema u nas rodziny możniejszej, która-by nie miała zasłużonego członka

w rodzie, domu lub imieniu swoim, którego pamięć poczić pragnie dla siebie i drugich. Już w odrestaurowanych kościołach Krakowa, w których się nabożeństwo odprawia, uderza serce jakieś dziwne ubóstwo. Ofiary pobożne wystarczyły na pokrycie potrzeby koniecznej, ale teraz dopiero pomocy sztuk pięknych potrzeba. Mamy wielu bardzo artystów znakomitych, a mianowicie malarzy, mamy towarzystwo sztuk pięknych w Krakowie, — otóż wszyscy, o wzrost i ozdobę kościoła św. Trójcy troskliwi, zapytywali, czyby tych rozstrzelonych sił i zdolności nie można skupić w służbie kościoła? czyby nie można otworzyć artystom pola godnego współzawodnictwa, a towarzystwu sztuk pięknych sposobności przyłożenia się usilnością swoją do ozdobienia w powszechności kościołów krakowskich, a w szczególności Bazyliki św. Jacka?\*

W tym celu proponuje W. Pol wydanie dyplomatarjusza kościoła św. Trójcy, który się stanie „najszanowniejszym pomnikiem dziejów i kościoła naszego“; następnie wypada opisać kościół św. Trójcy, pod względem archeologii i historii miejscowej. O ile te rady W. Pola uwzględniono, trudno mi było dowiedzieć się — dwie ostatnie nie wyszły nigdy już ze sfery projektów — sprawę jednak, w której obronie wystąpił, poeta posunął o krok naprzód.

DR. H. BIEGELEISEN.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63





F  
4225







F

4225